

TREKKING

KIERUNEK BAJKAŁ

BARGUZIŃSKI GRZBIET

Tekst i zdjęcia / DAMIAN WOJCIECHOWSKI TJ

Dzisiaj pobiliśmy rekord – przez cały dzień przeszliśmy zaledwie 5 kilometrów, w poprzednie niewiele więcej. Od czterech czy pięciu dób nieustannie pada deszcz, aż się zaczynam dziwić, jak to możliwe. Skąd tyle wody na górze? Liczyliśmy na piękne panoramy, a tymczasem nie widać nic, wszystko jest przykryte mgłą. Zresztą, co zobaczyć przez kosówkę sięgającą drugiego piętra? To wszystko mogłoby człowieka załamać, jednak prawdziwym łękiem zaczyna napawać mnie fakt, że plecaki stają się coraz lżejsze. A to oznacza, że jedzenia ubywa, natomiast odległość od Bajkału, który ma nas uratować, nie zmniejsza się. Widmo głodu staje się coraz bardziej realne.

Wyprawa zazwyczaj zaczyna się od jakiegoś niejasnego marzenia i błędzenia palcem po mapie. Jak zaplanować przejście przez syberyjskie góry, aby nie wracać do tego samego miejsca? Trudności komunikacyjne sprawiają, że najczęściej można dostać się do jakiegoś górskiego pasma tylko w jednym miejscu i stamtąd wracać z powrotem do domu. Spoglądam na mapie na Barguziński Grzbiet, położony na samej północy, na wschodnim brzegu Bajkału. To jeden z najdzikszych rejonów Przybajkala. Na obszarze długości około 500 kilometrów i szerokości 150 kilometrów – czyli podobnym do Beskidów – nie ma ani jednej, najmniejszej nawet wioski. Wysokość i charakter gór przypomina Tatry, tylko roślinność jest o wiele bujniejsza. Górska

tajga to w rzeczywistości syberyjska dżungla. W głowie rodzi mi się szaleńcza idea: przejść przez całe pasmo ze wschodu na zachód. Od stepowej kotliny rzeki Barguzin do brzegu Bajkału. Nikogo tam raczej nie spotkamy, liczyć możemy tylko na siebie.

W czasach ZSRR turyści nie mieli dostępu do map, robili więc je sami. Po każdej wyprawie pisali szczegółowe raporty, liczące czasami setki stron, i rok po roku ręcznie uzupełniali mapy. Moskiewskie metro Taganka zna każdy szanujący się turysta w Rosji – tutaj znajduje się Centralna Biblioteka Turystyczna. Na półkach stoją tysiące raportów o wyprawach po bezkresnym obszarze Związku Radzieckiego. Znajduję opis trasy wiodącej interesującym mnie terenem. Według autorów, którzy byli tam kilkanaście







lat wcześniej, nie jest ona zbyt trudna. Do przejścia mamy około 200 kilometrów dobrą, jak piszą radzieccy miłośnicy gór, ścieżką. A co najważniejsze, wzdłuż brzegu Bajkału dosyć często kursują mniejsze lub większe kutry, które dowiozą wędrowców do położonego na przeciwległym, zachodnim brzegu Siewierobajkalska, skąd w ciągu jednego dnia wodolotem przepłyniemy przez całe jezioro na południe, do Irkucka.

Lecimy do Ułan Ude, stolicy Buriacji. Zwiedzamy centrum miasta, gdzie na cokole stoi słynna ogromna głowa wodza światowej rewolucji – bez szyi. Wrażenie komiczne. Kierowca Buriat zgadza się przewieźć nas 600 kilometrów żwirową drogą przez tajgę do Ałły, ostatniej wioski w Kotlinie Barguzińskiej. Po zmroku dochodzimy do uzdrowiska Arszan, gdzie zaczyna się nasza trasa. Nocujemy w jakimś nowo wybudowanym, ale opuszczonym drewnianym domku na brzegiem rzeki Ałły.

AŁŁA

Rano okazuje się, że na cały kurort składają się dwa domki, w których mieszka kilkoro wczasowiczów. Pogoda przepiękna, długa, zamknięta skalistymi grzbietami dolina Ałły ciągnie się po horyzont, a nieopodal gorące źródło bije prosto z dna rzeki. Większość z nas korzysta z drewnianej sauny wybudowanej na wbitych w dno palach.



Po kilku godzinach zostawiamy za plecami ostatnie ślady cywilizacji i ruszamy w drogę. Prawdopodobnie przez najbliższe dwa tygodnie nie zobaczymy żadnego człowieka ani jakichkolwiek śladów jego bytności. Zasadniczo na Syberii, ze względu na brak szlaków czy ścieżek, a także dobrej jakości map, zdecydowana większość turystycznych tras wiedzie wzdłuż rzek. W ten sposób łatwiej orientować się w terenie i szybciej pokonywać odległości. Z początku idziemy „ścieżką przyrodniczą”, są jakieś znaki i tablice informacyjne – wielka rzadkość na Syberii. Po kilku kilometrach ułatwienia kończą się, za to trzeba przejść na drugi brzeg. Rozbieramy się, a wtedy pojawia się pierwsza trudność. Nie wszyscy mają górskie sandały, bez których trudno przejść bystry nurt po śliskich i ostrych kamieniach, musimy więc przekazywać je sobie za pomocą liny, co trwa bardzo długo. Aby było weselej, orientujemy się, że kilka-

dziesiąt metrów w górę rzeki jest prowizoryczny most – ktoś mógł to przewidzieć? Po przejściu około 15 kilometrów rozbijamy namioty.

Nocą zaczyna padać deszcz i nie przestaje przez cały następny dzień. Rano okazuje się, że wszystkie szczyty dookoła pokryte są śniegiem, a przecież to dopiero 9 sierpnia! Powoli przedzieramy się przez chaszczę wzdłuż Ałły. Napotykanne po drodze boczne potoki

stają się coraz szersze i trudniejsze do przejścia. Według opisu i mapy powinniśmy dojść do miejsca, gdzie Ałła gwałtownie skręca w prawo i tam wspiąć się na przełęcz prowadzącą do Doliny Sagzionnoj. Niestety, z powodu nieustannych opadów jeden z dopływów przekształcił się w wodospad. Musimy iść wzdłuż niego w górę. Ostatecznie znajdujemy miejsce, gdzie po kilku godzinach walki ze zrąbanych brzoź przy pomocy liny udaje się zbudować prowizoryczny mostek. Na drugim brzegu decyduję, że nie wracamy do koryta Ałły, tylko idziemy w górę, aby nie tracić wysokości. Ciągłe leje. Zupełnie przemoknięci i zdrętwiali z zimna docieramy do górnej, płaskiej części doliny. Z trudem gotujemy coś ciepłego i padamy w śpiwo.

Ranek wita nas przepiękną pogodą. Całkowicie błękitne niebo zaprasza w góry. Dookoła ukazują się niewidoczne wieczorem skaliste szczyty, wysokie jak Tatry.



Śniegu jeszcze więcej niż wczoraj. Teraz jedynym problemem wydaje się znalezienie przełęczy, która poprowadzi nas na drugą stronę grzbietu. Idziemy na północ, wyżej i wyżej. Kończy się kosówka i zaczynają pokryte śniegiem piargi. Niezbyt bezpiecznie. Dręczy mnie pytanie, czy ostry i równy grzbiet przed nami kryje dolinę rzeki Sagzionnoj (po buriacku *Sogdengdon*), czy może następny, podobny grzbiet? Dochodzimy do skalnej grani. Za nami ciągnie się Ała, a przed nami, na horyzoncie Dolina Barguzina. Za granią widać przepiękną, szeroką, skalistą dolinę – a właściwie kilka połączonych dolin – prawie pozbawioną roślinności, za to z granatowoszarymi jeziorami przedzielonymi niewielkimi górkami. Co ważniejsze, widać Dolinę Sagzionnoj, a dalej nawet góry leżące za główną rzeką rejonu – Tompudą. Śniegu po pas i zupełnie nie wiadomo, czy da się tam zejść.

Jak to zazwyczaj bywa, druga strona grzbietu okazuje się o wiele bardziej urwista niż ta, którą wchodziliśmy. Decyduję się na zejście zlebem, zakładając, że leżą w nim kamienie. Idę powoli trawersem, wchodzę w wąskie gardło i... Spadam kilkanaście metrów. Udaje mi się odwrócić na brzuch i wyhamować. Krzycząc, zatrzymuję grupę. Podłoże okazało się skalną płytą pokrytą śniegiem. Próbuję się wspiąć, ale zsuwam się jeszcze bardziej. Chłopaki wciągają za pomocą liny najpierw plecak, potem mnie. Wszyscy są lekko przestraszeni. Wracamy na górę i idziemy ostrą granią. Po pewnym czasie znajdujemy miejsce, z którego widać całą drogę w dół – to gwarancja, że nie będzie zbyt stromych odcinków. Powoli, ślizgając się po skrytych pod śniegiem kamieniach,

schodzimy w dolinę – tak piękną i tajemniczą, że bezwiednie ściszymy głos. Z trudem znajdujemy jakieś gałązki na ognisko.

SAGZIONNOJ

Pogoda zmienna, zupełnie jak dzień wcześniej. Z początku idziemy po miłych górkach i alpejskich łąkach, pokrytych kwiatami we wszystkich możliwych kolorach, jednak gdy osiągamy koryto rzeki, wszystko się zmienia: drogę zagradzają nam karłowate wierzby, chaszczce i gęsta kosówka. Przebijamy się przez syberyjską dżunglę. Tempo spada do jednego kilometra na godzinę. Czasami przechodzimy nad kilkudziesięciometrowymi urwiskami. Ale i tak mamy szczęście, bo ktoś idący przed nami i wyrąbał niewyraźne przejście. Pod wieczór dolina staje się bardziej płaska i zarazem bardziej bagienna. Czasami widać ślady ścieżki, która znika, jak tylko zaczynają się chaszczce. Rozbijamy obóz na wiatrołomie, nad samą rzeką. Pojawiają się nowe atrakcje: komary i maskary (małe i niezwykle złośliwe muszki).

Kolejnego dnia leje i leje. Chaszczce bez końca. I nic nie widać – najbliższe szczyty ledwie majaczą we mgle. Pod wieczór dolina staje się bardzo szeroka i płaska, porośnięta gęstą olchą. Decyduję się wymęczyć ludzi jeszcze przez kilka kilometrów, żeby dojść do brzegu Tompudy, czyli dobrego punktu, w którym można zdecydować, co dalej. Ostatni odcinek wydaje się nie mieć końca. W końcu osiągamy rzekę. Teraz łezki i spanie – myśleć będziemy jutro.

TOMPUDA

Ta szeroka na kilkadziesiąt metrów i długa

na około 200 kilometrów rzeka wpada do Bajkału. Obóz rozbijamy na piaszczystej wysepce. Pierwotnie mieliśmy przepłynąć się przez na drugi brzeg i wspiąć się wzdłuż wodospadów, by dojść do płaskowyżu, na którym położone są najwyższe szczyty. Jednak nurt jest bardzo weszbrany i przeprawa może być niebezpieczna. Decydujemy się iść w górę.

Najbliższe dni okazują się drogą przez mękę. Deszcz, powalone drzewa i pokonywanie 5 kilometrów dziennie. Polska kosówka przy syberyjskiej to karzełek – tutaj pnie mają grubość człowieka. Albo czołgasz się po ziemi, ciągnąc plecak za sobą, albo wspinasz na pnie i przeskakujesz z gałęzi na gałąź. I tak cały dzień. Szybkość: 1 km/h. Po kilku dniach mięśnie rąk wyrabiają mi się jak na spływie kajakowym, za to nogi nie są zbyt potrzebne. Dla urozniczenia rzeka dociska się czasami do skał, zmuszając nas do wspinaczki. A gdzie ścieżka ze starego opisu? Zarosła, ponieważ nikt tędy nie szedł przez ostatnie kilkanaście lat. Pokonujemy boczne potoki, a czasami rzeki szerokie na 20–30 metrów, które z trudem można przejść przy pomocy liny. Woda, choć sięga tylko kolan, jest tak bystra, że zrywa sandały. A jeśli prąd zwali cię z nóg, jedyny ratunek w tym, że inni wyciągną cię na linie. Każda przeprawa opóźnia nas o godzinę.

Przez kilka dni nic szczególnego się nie dzieje, poza tym, że odnajdujemy zniszczony szałas myśliwski. Myśliwi przybywają w te okolice zimą, gdy po zamrożniętej rzece można dostać się w góry na skuterach śnieżnych. Wieczorem przy ognisku suszymy ubrania i buty, które rano po pięciu minutach marszu – lub czołgania się – znowu



będą całkowicie mokre. Oglądamy się wzajemnie i ściągamy z siebie kleszcze. Ponoć jest tu największe na świecie zagęszczenie tych zarażonych.

Leżymy w namiotach, kiedy nagle słychać trzask łamanych gałęzi. Skojarzenie jest tylko jedno – niedźwiedź! Po drodze widzieliśmy mnóstwo śladów. Na szczęście okazuje się, że to turyści. Pokonują naszą trasę, tyle że „pod prąd”, od strony Bajkału. Przenieśli przez główny grzbiet katamarany zbudowane z dwóch długich, gumowych balonów, na których montuje się wykonane ze ściętych drzew siedzenia, i płyną Tompudą z powrotem do Bajkału. W ciągu kilku minut łapią dla nas kilka pstrągów. Okazuje się, że jest ich tutaj zatrzęsienie – jednego dnia złowili kilkadziesiąt kilogramów ryby. Dostajemy żyłkę z haczykami i nasi wędkarze próbują iść w ich ślady – do końca wyprawy bezskutecznie.

Upewniam się, że bród na Tompudzie jest na wysokości dużego wodospadu, który wpada do rzeki z przeciwnego brzegu. Następnego dnia dochodzimy do tego miejsca. Niestety, poziom wody podniósł się na tyle, że nie ma szans na jej sforsowanie. Decydujemy się iść dalej w górę, do miejsca, gdzie Tompuda rozdziela się na dwie odno-

gi. To jeszcze dwa dodatkowe dni i staje się coraz bardziej jasne, że nie wystarczy nam jedzenia. Zmniejszamy więc porcje. Rano i wieczorem wydzielamy po trzy suszone śliwki do ryżu. Jesteśmy w środku trasy, zatem idąc dalej lub ewakuując się z powrotem stracimy tyle samo czasu – około tygodnia. Decydujemy się kontynuować, z nadzieją, że w wyższych partiach gór nie będzie już tak gęstych chaszczki... I ta prognoza się sprawdza. Zaczynają się za to problemy ze zdrowiem – od nieustannego deszczu i wszechobecnej wilgoci łatwo poobcierać sobie stopy do krwi.

Dochodzimy do rozwidlenia rzeki. Na prawej odnodze jest mostek z pnia. Bez zastanowienia wchodzę na niego i moja nieostrożność zostaje natychmiast ukarana – ześlizguję się z gładkiego jak szkło drzewa i wpadam do wody. Unosi mnie nurt, a ja myślę tylko o aparacie, który na szczęście schowałem do górnej kieszeni plecaka. Z pomocą grupy wydostaję się na brzeg. Nocujemy w rozwidleniu rzek.

FLORICHA

Następnego ranka kierujemy się w stronę rzeki Florichy, która ma nas zaprowadzić do Bajkału. Najpierw trzeba jednak sforsować

drugą odnogę Tompudy. Na wysokości obozowiska nurt na szczęście jest już spokojny.

Pierwszy raz od ponad tygodnia odchodzi od koryta rzeki. Łagodnie wspinamy się wśród cedrów syberyjskich (przepiękne drzewa, podobne do limby), zarośli wierzby, małych bagienek, potoków, poduszek mchu i porostów. Wypogadza się. Wychodzimy na płaskowyż. Ze wszystkich stron otaczają nas piękne, skaliste góry. Pod nami, na wysokości 1300 metrów leży jezioro Ukoinda. Po dojeździe do niego okazuje się, że liczba muszek gwałtownie wzrasta. Wpadamy w zarośla, brniemy po kolona w błocie. Tempo spada do kilkuset metrów na godzinę. Na początku wąziutka rzeka z czasem robi się coraz głębsza i nieznosnie meandruje – droga wydłuża się niemiłosiernie.

Nagle jeden z chłopaków traci przytomność i upada. Cały jest sinoblady. Mimo godziny odpoczynku każda próba wstania z ziemi kończy się ponownym omdleniem. Rozpalamy ognisko, poimy go kawą i czekoladą – to nasz ostatni prowiant. Zostawiam go z kolegą, a z resztą grupy idę do jeziora Floricha, gdzie mamy nadzieję znaleźć jakichś ludzi i dostać coś do jedzenia. Mamy szczęście – na brzegu spotykamy dziadka, który daje nam trochę ryb i ryżu (później



bierze w zamian mój nóż). Depczące nam po piętach widmo głodu znika, przynajmniej na jeden dzień. Skrótem wracam do czekających chłopaków i na plecach wspólnie niesiemy chorego do rozbitego przy jeziorze obozu. Po drodze znajduję chatkę myśliwską, w której jest trochę ryżu – na stole zostawiam ruble.

Następnego ranka pogoda jest przecudna. Po tym, co przeszliśmy, jezioro przypomina rajski ogród. Jak przeprawimy się na drugą stronę rzeki? Dziadek mówi, że w jednym miejscu woda sięga tylko do szyi... Okazuje się, że kilka kilometrów od nas znajduje się obóz przysposobienia wojskowego. Na gumowej łódce, za niewielką opłatą, w kilku turach przeprawiamy się na drugi brzeg (około 10 kilometrów). Idziemy wzdłuż jeziora po ogromnych głazach, po drodze obżerając się zadziwiająco słodkim dzikim agrestem. Dochodzimy do zatoczki, gdzie czeka pozostała część ekipy. Teraz jeszcze kilka kilometrów przez bagno i... Jesteśmy nad brzegiem upragnionego Bajkału.

To najgłębsze jezioro świata: 1620 metrów głębokości, 20% zapasów słodkiej wody Ziemi. Na małym polu namiotowym rozłożyli się uczestnicy obozu, którzy tak jak my chcą przepłynąć na drugi brzeg, do Siewierobajkalska. I znowu mamy szczęście: po pierwsze dają nam trochę jedzenia, po drugie informują, że nazajutrz przyplywa po nich kuter. Rano mamy mniej przyjemne spotkanie: strażnik ochrony przyrody grozi nam dubeltówką za to, że nie mamy pozwolenia na chodzenie po tym terytorium. Tylko jak dostać glejt, skoro wędrówkę zaczęliśmy kilkaset kilometrów od jego „biura”? Wiadomo jednak, o co chodzi. Mówię więc, że uścimy karę, kiedy przewiezie nas na drugi brzeg. To go uspokaja, tak jak propozycja zapłacenia za usługi przewoźnicze. Niestety, nie może nas wziąć razem z grupą przysposobienia wojskowego, płynę więc tylko ja, żeby kupić prowiant i dopilnować szybkiego powrotu kutra. Nazajutrz rano, według planu, ze Siewierobajkalska



wypłynie superszybki wodolot, który w kilka godzin przewiezie nas przez cały Bajkał, 800 kilometrów do Irkucka.

Mój rejs kutrem do Siewierobajkalska trwa 4 godziny. Niestety, powrót na wschodni brzeg przeciąga się, ponieważ strażnik przyrody okazuje się... kłusownikiem, który łowi w jeziorze słynnego omuła. Kilkanaście ogromnych beczek kryje się w ładowni. Po zmroku na nabrzeżu podjeżdża ciężarówka i wraz z resztą załogi pomagam mu wyładować rybę. Następnie załoga udaje się do miasta świętować udany biznes. Czas ucieka. Po powrocie pijani marynarze zajmują się „naprawą” kutra. W końcu wszyscy, oprócz sternika, zasypiają i pod gwiazdami ruszamy w drogę powrotną. Niezbyt trzeźwy zapewniam, że z zamkniętymi oczami dopłynię do zatoki Floricha, ja jednak ciągle koryguję kurs. Całe szczęście, że świeci księżyc, bo znacznie ułatwia to orientację. W końcu zmęczony usypiam. Budzę się, gdy wpływamy do zatoki. Okazuje się jednak, że nie kierujemy się do naszej grupy, tylko do chatki strażników, gdzie zaczyna się libacja. Przy świeczce znika butelka za butelką, za zagryzkę służy surowy omul. Między kapitanem a sternikiem wybucha awantura. Mężczyźni chwytają za noże i leje się krew. Przy tym okazuje się, że jeden z zarośniętych indywidualistów jest po-



szukiwany przez milicję. Jakoś udaje mi się uspokoić i położyć do snu Ali Babę i czterdziestu rozbójników. To błąd, bo później nie będę mógł ich obudzić...

W końcu, w środku nocy kapitan postanawia jednak wznowić prace remontowe i po pewnym czasie moje przekleństwa mobilizują załogę do odpłynięcia od brzegu. Zaczynam niecierpliwie spoglądać na zegarek – czasu jest coraz mniej. Na brzegu nie widać ogniska. Znużeni oczekiwaniem, wszyscy zasnęli. Tym razem polskie przekleństwo mobilizuje grupę do przebudzenia się i szybkiego spakowania. Wypływamy z powrotem na odkryte wody. Świta. Rzucam chłopakom chleb – nigdy nie widziałem, żeby znikł równie szybko. To jednak nie koniec naszych przygód. Po drodze wpływamy w charakterystyczną dla Bajkału mgielkę, która tworzy się przy samej tafli podczas sło-

necznej pogody. Nagle wylania się z niej wojskowy ścigacz. Przez megafon słyszymy wezwanie: „Wyłączyć silnik i stanąć z rękami do góry pod ścianą”. Kapitan błędnie – jest pewien, że chodzi o omuła, którego ma jeszcze trochę pod naszymi plecakami. Na pokład wpadają milicjanci z kalachami. Przeszukują ładownię. W tym samym czasie na ścigaczu jakiś cywil dostaje ataku padaczki. Widziałem go wczoraj wieczorem, jak łaził po nabrzeżu.

Za chwilę wszystko się wyjaśnia: wczoraj z miejscowego łagru uciekło dwóch kryminalistów, zabijając przy tym milicjantów. Ten cywil zgłosił na milicję, że jakiś podejrzany człowiek (czyli ja) kręci się na kutrze... A teraz, zgodnie z prawem dżungli, będzie pewnie musiał zapłacić za donosicielstwo.

Zniecierpliwieni wypatrujemy drugiego brzegu. Ukazuje się Siewierobajkalsk... I na naszych oczach z portu wypływa wodolot. Najpierw powoli, potem jak rakietka przyspiesza po wodzie. Kapitan daje znak syreną, ale dzieli nas kilka kilometrów – nikt go nie usłyszy. Wodolot znika nam z oczu i już wiemy, że aby dostać się do Irkucka, spędzimy dwa dni w pociągu. Na brzegu płacę kapitanowi tylko część umówionej kwoty, choć w tej sytuacji to pewnie i tak za dużo. Po wielu dniach deszczu nad Bajkałem wyszło słońce. ■

